ROZMAITOŚCI.

Dnia 17 października, N^er^ 42. roku 1846.

O gramatyce J. N. Deszkiewicza.

Z Gumnisk, 24. września 1846.

Szanowny Redaktorze!

Ponieważ pan Deszkiewicz *utrzymuje, że recenzyja moja gramatyki jego, umieszczona w Nrze 29 Rozmaitości, jest niesprawiedliwą, jakoteż żem cudzoziemiec i języka polskiego nierozumiem, przeto upraszam Wpana Dobr. byś raczył umieścić w numerach pisma swego recenzyję tejże gramatyki, napisaną przez p.* Czajkowskiego *i ogłoszoną w »Bibliotece Warszawskiéj« za wrzesień r. b. — Jestto odpowiedź moja na twierdzenie p.* Deszkiewicza, *który, jak się spodziewam, nieodmówi panu* Czajkowskiemu *imienia rodaka. Niechaj publiczność, mając obie recenzye przed oczyma, sama oceni wartość naukową tej gramatyki, i wartość logiczną wniosku z imienia o wiadomościach nabytych i innych okolicznościach.*[*]

Wnoszę z zasług znamienitych, które Wpan Dobr. w uprawie języka ojczystego położyłeś, że raczysz przychylić się do wezwania mego, które czynię nie w celu utrzymania sądu mego, lecz w interesie młodzieży krajowej, uczącej się języka, która mogłaby pójść za fałszywym kierunkiem wskazanym sobie, i z błędów a niewiadomości obcéj, szkodę zamiast pożytku odnieść.

Zostaję i t. d.

Stanisław Pilat.

* * *

Krytyka rozsądna, wyrozumowana, wykazująca błędy, prostująca zdania, mogłaby zabronić tylu intruzom wchodzić do świątyni sławy; to też ci panowie zaraz krzyczą, że krytycy to są ludzie złośliwi, lub też dowcipkują tylko, że nie umieją sądzić rzeczy, że łatwiej sądzić drugich niżeli zrobić to co oni zrobili; a są i tacy, co nie uważając, że im powiedziano aby się uczyli ortografii, piszą i piszą dalej. Nie wierzą ci panowie, że krytyka nie chwali ani gani, ale ma na celu korzyść nauki i dążenie ku prawdzie, przez zjednoczenie pojęć i wyobrażeń o nauce lub sztuce. Lecz to dążenie do jedności winno być oparte na zasadach uznanych, które są podstawą sądu czyli krytyki; a skoro są zasady, toć i sąd krytyczny nie jest marzeniem, ale wypadkiem porównania prawdy z fałszem. Jednak zasady uznane mogą nie na zawsze takiemi zostać, tak jak ideał np. prawdy, piękności, stanie się niezrozumiałym, martwym, gdy się znajdzie w obcym, nie swoim świecie. Zasada, ideał, wyrabia się podług szczegółowych pojęć ludzi, ich czynów i uczuć, jest wypływem wiekuistej prawdy, może się oddalić od niéj, ale zawsze wracać go należy do źródła, z którego wziął życie; oto jest stanowisko sądu ludzkiego; trudne tu przepisy, ale cel oznaczony. Zawsze z tego stanowiska patrzałem, ile razy przyszło mi pisać o cudzych pracach lub utworach, chyba że kto już takie głupstwo napisał, że go czytać niepodobna; dla takiego dość żartu. Ale z dziełem pana Deszkiewicza to wcale co innego; tu autor zasługuje na całą naszą uwagę; a że w zdaniu zawsze byliśmy bezstronni, nie uprzedzi

---

*) *Już od lat kilku mieliśmy zapowiedzianą gramatykę pana* Deszkiewicza. *Poprzedzały ją rozprawy ustne i drukowane, które Autor mając jedynie za księżycową poświatę, upominał czekać cierpliwie wzejścia samego słońca. Łatwo było przewidzieć, iż tak ważnie i głośno zapowiedziane dzieło, skoro na widni stanie, i da się w swoich formach i organizmie rozpatrzyć, wywoła zdanie znawców. Jakoż po jego pojawieniu się, odebraliśmy w niedługim czasie pogląd pana* Pilata, *i zaraz następnie na tenże pogląd odpowiedź Autora. Teraz czyniąc jeszcze wyż wzmiankowanemu wezwaniu zadość, oświadczamy: Że dalszych rozpraw, szerszego pola wymagających, a jako dla swojej ściśle naukowej treści, małéj tylko części naszych czytelników przystępnych, umieszczać nie śmiemy, zwłaszcza, że jesteśmy przekonani: iż* gramatyka wyrozumowana, — *za jaką Autor dzieło swoje ma, lub mieć chce — ani wymownem orzeczeniem, ani indukcyją, ani żadnym innym sposobem prawd swoich nieudowodni, jeżeli im w metafizyce — w tak zwanych predykamentach — kategoryjach, podstawy nie poszuka, i bytu ich szczegółowego, względnego, z bytu ogólnego, bezwarunkowego, niewydemonstruje.*

Przypisek Redakcyi.

nas przychylnie ani grubość dzieła, która w nas zawsze szacunek obudza, ani imię autora znane w piśmiennictwie.

P. Deszkiewicz w r. 1843 wydał trzy rozprawy o języku polskim. W przedmowie do swojéj gramatyki powiada: że kto chce sądzić o jego robocie, powinien przeczytać owe rozprawy, bo w nich miał dowieść porządniejszych i obfitszych wzorów mowy żygmuntowskich wieków nad dzisiejszą, i na téj wyższości opierając się, układa swoję gramatykę, *radząc* zaprowadzić niektóre małe odmiany w dzisiejszéj naszéj mowie. Zasad objawionych w owych rozprawach nikt nie zbijał, przeto p. Deszkiewicz milczenie wziął za przyzwolenie, i w roku 1846 *wysłał samą grammatykę w posłannictwie do Narodu.* Nie wiém, czy milczenie zawsze się bierze za przyzwolenie; przyznam, że i ja owych rozprew dotąd nie czytałem i już czytać nie będę; zresztą p. Deszkiewicz powiada, że wszelkie zarzuty będą już po czasie czynione, ale gdybym był wiedział, że p. Deszkiewicz cofnie się o trzy wieki wstecz i mowę naszą podług wzorów ówczesnych przerabiać zamyśla, byłbym mu z duszy odradzał tę pracę. Można pisać rozprawy o piękności i mocy języka naszego z XVI wieku, ale nie można dzisiejszemu językowi narzucać form dawnych. Któż kiedy cofnął rzekę do swojego źródła? któż język żyjący żyjącego towarzystwa, cofnie do stanowiska wstecznego o trzy wieki? Przypuszczam z p. Deszkiewiczem, żeśmy w umysłowéj krainie nie daléj zaszli od naszych przodków; to mnie jednak nie przekona, aby dzisiejsze dążenie do udoskonalenia języka, *uważać za krok wsteczny raka* Mogli być ojcowie nasi mędrsi od nas, zatém nie idzie, aby ich język wystarczał na nasze potrzeby myślenia; właśnie brakuje nam ich mocy, potęgi, a zyskaliśmy na sile i polocie myśli, chociaż myśli nasze mogły być i ich myślami; toć i doskonalenie dzisiejsze języka ma na celu tylko łatwiejsze, giętsze formy, wdzięk i polor zewnętrzny. Doskonalą się tylko kształty zewnętrzne, istota zostaje ta sama. Ulepszamy tylko rozmiary budynku, nie mogąc nigdy zmienić jego przeznaczenia. Myśl wielką równie może przedstawić rysunek zrobiony węglem na ścianie, jak obraz wykończony przez artystę; nie idzie zatém, abyśmy zawsze węglem rysowali.

Dziwna rzecz, jak p. Deszkiewicz mógł przyjąć tak mylną zasadę i na niéj budować, mówię o tém, jak mógł odrzucić badania nowsze nad zdolnościami języka; i ze stanowiska wstecznego zapatrywać się na przedmiot i pisać o języku jaki był za Zygmuntów świetnéj epoki. Ta świetna epoka była świetną na ówczas, ale nie na dziś. Język przedstawia potrzeby czasu i społeczności, która go wyrobiła. A jakże daleko odbiegliśmy od naszych ojców! Cóż mamy z nimi wspólnego? Nasza dłoń udźwignież miecz, którym oni się bawili, jak my dziś laseczką z porcelanową ozdobą; nasze ciało za szczupłe dla zbroi, którą oni nosili; potrawy ich dziśby nas potruły, trudy zgubiły; do ich cnót i do ich błędów my dziś niezdolni. Ich myśl krążyła około przedmiotów realnych i utylitarnych; ich filozofija w przykładach, ich moralność w zastosowaniach praktycznych; tylko o tém myśleli, co się dało wykonać; tylko to wykonywali, co było potrzebném lub pożyteczném. Dlatego język Skargi silny, jędrny; u niego potęga słowa jak potęga gromiącego oręża; ale taki Skarga, gdyby przemówił do dzisiejszéj społeczności, słowa jego uderzając w rozum tylko, nietrafiłyby do serca, przebrzmiałyby, jak odgłos gromu, który sztuka zrobiła dziś nieszkodliwym. Język Kochanowskiego, to nie natchnienie wieszcza-proroka, ale śpiew zasmuconego ojca, szczęśliwego męża, wesołego sąsiada, życzliwego przyjaciela. Pytam się teraz, czy język owéj epoki wystarczy dzisiaj, gdy słowem trzeba mówić razem do rozumu i serca, gdy natchnieniem trzeba wznieść się do tajemnic przyszłości. I p. Deszkiewicz myślał, że już przemówił językiem Zygmuntów, gdy w swojéj książce użył słów kilka używanych w dawnych książkach, że je wydrukował dawną ortografiją, że wyrazom nadał dawne zakończenia i formy, i ułożył je podług dawnéj składni? Na cóż się zdadzą wyrazy, których znaczenia dziś nikt nie rozumie, których dźwięki obce dla naszego ucha, jak znaczenie hieroglifów dla dzisiejszéj społeczności: nie odpowiadały dobrze warunkom myśli na przyszłość, nie wyrosły zapewne z życia społeczności, gdy przeminął lud co niemi znaczył myśli swoje, dla następców stały się zagadką; to też je porzucono, i utworzono albo nowe znaki myśli, albo w inny je skład ułożono, bo i myśl sama straciła swoje kształty, straciła na wadze, potędze, a obrała lot górny, śmielszy. Oto przyczyna dla któréj odmieniają się języki, giną wyrazy, odmieniają znaczenie. Ale ta odmiana jest konieczną, skoro naród żyje, pracuje nad sobą, myśli i mówi co myśli, a myśl swoję podnosząc od zmysłowych przedmiotów w sfery ducha, dosięga pierwiastków mądrości wiekuistéj.

Jeszcze więcéj śmieszną jest rzeczą przywracać dawne formy wyrazom i pod pozorem prostowania i naprawiania wszystkiego, odrzucać co dziś jest przyjętém i przyswojoném, co jest własnością niezaprzeczoną dzisiejszego czasu i społeczności. P. Deszkiewicz krzyczy i lamentuje, że dziś język nam się psuje, że go o zgubę przyprawiają wyższe klasy, że mu grozi straszne nieszczęście, i dla odwrócenia tak srogiéj plagi, narzuca mu formy, w których wygląda jak dandy w robronie. Skoro p. Deszkiewicz wiele, jak mówi, lat strawił na badaniu języka, toć przecie powinien był odkryć jego taje-

mnice i własności, ale do tego nie trzeba być drobiazgowym i patrzéć po wierzchu na rzeczy. W każdym wyrazie jest *treść* i dwa jéj skrajniki, *zaczątek* i *końcówka.* W treści ukryte znaczenie wyrazu, to utajony duch, serce, nie tykaj go, tylko naród jest tu panem, on tylko zmienić je może; ale *zaczątek* i *końcówka,* to ciało wyrazu, strój jego zewnętrzny, ten strój zmienić się może, stosownie do upodobań i gustu społeczności. A wszakże i narody ubiór zmieniają, dziś wszystkie jednakowo się ubierają, jednak Hiszpan nie przestał być Hiszpanem, Francuz Francuzem. Zaczątek wyrazu, głowa jego, jest jak głowa człowieka, wyświeca znaczenie treści, serca; mądra lub głupia, pojętna lub tępa, udziela tych własności sercu, choćby ono było składem najświętszych uczuć, treści. Zamąci je, przytłumi, skrzywi, jeśli z sercem nie będzie w zgodzie. Końcówka, to niby wykształcenie, ułożenie towarzyskie, ułatwia stosunki, związki, a ztąd wynika, że musi być odpowiednią do gustu i smaku społeczności, że może być zmienną, stosownie jak się odmienia owa społeczność. Takim warunkom ulega sztuka mowy, będąca najpiękniejszym wynalazkiem rozumu człowieka, i tak ściśle związana z jego potrzebami. Sądzę, że się wyraźnie wytłumaczyłem, przedstawiając prawie plastycznym sposobem przeznaczenie *słowa* człowieczego, pod postacią głowy, serca i ukształcenia towarzyskiego. Nie chciałbym być niejasnym, wolę, że kto zwróci uwagę na niezwyczajność tłumaczenia. — Ponieważ p. Deszkiewicz nie dosięgnął zasady w mechanizmie mowy, czegoż się można spodziéwać po jego zapewnieniu w przedmowie, *że usiłował układ na przyrodzeniu naszego języka oparty jasno rozwinąć,* i przewidując, że z tego nic nie będzie, *śmiało się odwołuje do wyroku przyszłych pokoleń.* Wreszcie pociesza się tą myślą, *że jeśli uczeni powiedzą: „Deszkiewicz nie dla nas, lecz dla XVI wieku gramatykę napisał”,* słowa te za największą pochwałę uzna.— Nie powiém, dla którego wieku pan D. tę gramatykę napisał, ale wątpię, czy to będzie dla niego pochwałą, że książka jego może się zdać dla każdego innego wieku, tylko nie dla dzisiejszego. Niebezpieczna i śmieszna to rzecz występować z nauką dla przyszłości, smutna dziś dopiero uczyć się przeszłością. Wreszcie pan D. prosi, aby przed wydaniem wyroku o jego dziele przeczytać wszystko cierpliwie, od początku do końca, porównać wszystkie części ze sobą, nadewszystko twierdzeń jego nie zbijać dowodem, *że teraz tak weszło we zwyczaj;* bo toby mu przypomniało znaną odpowiedź: dla czego nie pozwalasz? dla czego i drudzy; a dla czego drudzy? a P. Bóg raczy o tém wiedziéć! Nie chcąc się okryć podobną śmiesznością, będziemy się starali zadosyć uczynić wszystkim powyższym żądaniom pana D.

Autor zaczyna swoje badania od głosek, których naliczył sześćdziesiąt sześć, oto jakim sposobem do téj sumy doszedł: *Samogłosek czystych* sześć: *a, e, i, o, u, y; ściśnionych* dwie: *é, ó; granicznych* trzy: *ą, ę, j; spieszczonych* osiem: *ja, ją, je, jé, ję, jo, jó, ju. Dyftongów* osiem: *au, aj, ej, éj, ij, oj, ój, uj. Tryftongów* trzy: *jaj, jéj, juj.* Spółgłosek *twardych* 16*: b, d, f, g, h, i t. d; miękkich* 10: *b' ć, dź, f, i t. d.; zmiękczonych* 7: *c, cz, dz, t, rz, sz, szcz; przyciskowych* 3: *dż, rż, ż;* po takiéj niesłychanéj likwidacyi, prosi, *aby ją uważnie rozpatrzéć i dobrze pojąć: bo na tym podziale cały układ odmian polega.*

Teraz mógłbym skończyć ten list, bo pan D. przyjmując sześćdziesiąt sześć głosek, biorąc *aj, ej,* i t. d. za dwugłoski, *jaj, jéj,* i t. d. za trójgłoski, już zyskał wyrok o swojéj pracy u wszystkich ludzi, którzy jakiekolwiek mają wyobrażenie o języku i jego gramatyce. U niego każda głoskowa postać do któréj dodaje się choćby kropka, każda przy któréj staje ta nieszczęśliwa *jota,* a gorzéj gdy dwie, jest już nową głoską. Jest to coś jakby w chińskim języku, gdzie każdy nowy pazurek dodany do litery nowe znaczy pojęcie. Czegoż oczekiwać po takim podziale głosek? prawideł bez końca, wyjątków jeszcze więcej, żadnego systematu, żadnego ładu. U pana D. niczém jest system głoskowy Mrozińskiego, zdaje się jakby go nie czytał; cofnął się jeszcze po za punkt widzenia Kopczyńskiego i napisał książkę, o któréj przedruki naiwnie obawia się w swojéj przedmowie. Niepotrzebna troska, pan D. niewdzięczną uprawiał niwę, a ziarno z niéj otrzymane nikogo nie pożywi. Cobyście panowie powiedzieli o mistrzu, który dla nauczenia uczniów harmonii, będzie im wyliczał tyle tonów, ile jest oktaw w instrumencie? Cobyście powiedzieli o mistrzu, który chcąc zrobić kopiją obrazu, będzie liczył tyle kolorów, ile jest odcieni i kombinacyi każdego koloru? Oburzy się każdy, gdy zobaczy takie sponiewieranie wszystkiego, co uznaném zostało za podstawę badań nad językiem, a co pan D. tak zuchwale zdeptał i porzucił. I toż to są nauczyciele języka, którzy go w tak potwornéj wystawiają postaci, a przemawiają o miłości dla niego, o życzeniach dla niego! Pan D. niebezpieczniejszy od Szreniawy: tamten niedostępny swoją ciemnością, ten z miłością i życzliwością na ustach w biały dzień plwa w oczy. Ale zobaczmy źródło wszystkich błędów pana D. który zresztą może miał najlepsze chęci. W liście moim o Szreniawie (umieszczonym w *Bibliotece Warszawskiéj)* wykazałem stanowisko prac Kopczyńskiego i Mrozińskiego, od tego ostatniego nikt daléj dzieła nie posunął. Żochowski, człowiek myślący, wyznał otwarcie, że daléj nie pójdzie od Mrozińskiego i dla tego napisał tylko o częściach mowy odmieniających się przez przypadki. Inni chcieli

się posunąć dalej, ale bezskutecznie. Punktem więc widocznym z którego wychodzić należy, jest stanowisko Mrozińskiego. Ale pan D. wziął *j* za samogłoskę, i oto źródło wszystkich nieszczęśliwości, które się walą na jego pracę. Oto zaraz tego skutki: narodziło mu się osiem dyftongów: aj, ej i t. d. a byłoby ich więcéj, gdyby *ja, je, jo*, i t. d. policzył także do ich liczby, co mógł łatwo uczynić, że i tu jota zrasta się z samogłoską. Narodziło mu się troje tryftongów, a ze zmiękczonémi spółgłoskami, dosięgnie liczba tych dziwolągów do siedmdziesiąt jeden.

Wstyd pisać dziś o tém, czy są dyftongi i tryftongi; któż zaśpiewa razem dwa tony, lub wymówi dwie samogłoski. Gdyby jeszcze jaki użytek zrobił autor z tych swoich dyftongów, prędzejby mu je darować można; gdyby wytłumaczył niemi jaką odmianę, jaką osobliwość języka, ale w całéj książce nie wspomniał więcéj o nich, jak wyrodków, których się zaparł własny ojciec. Ale idźmy daléj: niepodobna, aby w tak grubéj książce jak gramatyka pana D. nie było coś dobrego.

Podział mowy na części wcale dorzecznie zrobiony. Zapewne, że wykrzyknik był piérwszym głosem człowieka przemawiającego o swojém uczuciu, daléj nazwał siebie ogólnikiem *ja* a swojego towarzysza *ty;* utworzył wyrazy naśladujące przyrodzone dźwięki: *grzmot, puk;* i ogólniki na oznaczenie rzeczy, które się jego zmysłom przedstawiały: *drzewo, zwierz, ptak;* porównywając je, wynalazł szczególne nazwy: *dąb, wilk, orzeł*, i nabył świadomości o najpiérwszéj wszech-rzeczy własności, to jest *bycie;* później poznał i inne szczególne własności rzeczy: dąb *wysoki*, wilk *żarłoczny*, i oznaczył przymioty w ruchu: rzeka *płynie*, ptak *leci;* wreszcie oderwał przymioty od rzeczy i utworzył z nich stosunki do oznaczenia związków między rzeczami: rzeka płynie *blizko* góry. Gdybym wydawał gramatykę, kto wié, czybym takiego podziału nie przyjął, z małémi odmianami. Bo nim człowiek zaznał treść swoję, nim wyrzekł to *ja* w którém zamknął przeszłość i przyszłość swoję, długo zapewne ulegał zewnętrznym wpływom, które przed nim roztaczały ciągle przemienne swe barwy. Ocean tych szczegółów zlewał się w jego duszę, a ona odnosząc je do siebie jako treść swoję, po wiekach ledwie przemówić zdołała, że jest przedmiotem téj treści. Po wiekach człowiek ledwie wyrzekł: *ja jestem*, i w tym symbolu zawarł treść istoty swojéj. Dzieci mówiąc do siebie, używają swoich imion własnych, młodzieniec dopiéro mianuje się symbolem wiedzy o sobie: *ja.* Z zasady więc antropologicznej wychodząc, możnaby i tu zrobić zarzut panu D.; że jednak przedmiot ten nie stanowi ważnych następstw w gramatyce, przejdźmy do tego co jest właściwém jéj zadaniem.

Powiedziałem już gdzieindziej o przeznaczeniu gramatyki (w wspomnionym wyżej liście o Szreniawie), tu dodam tylko, że dwie są wydatne jéj części: rozbiór i zbiór, analiza i synteza. W piérwszéj, gramatyk powinien nauczyć części składających mowę, wskazać ich przeznaczenie i użytek, tudzież środki jakiemi to przeznaczenie spełniają. Gdy nauczy rozebrać mowę i pokaże mechaniczne własności każdéj cząstki, powinien następnie pokazać, jak z nich złożyć mowę i uwięzić w niéj myśl, któréj ma być obrazem. Składnia więc jest drugą częścią téj nauki, równie ważną jak piérwsza. Tym sposobem przychodzi się do poznania pożytków i zdolności języka, tym sposobem postępujemy w każdéj sztuce i umiejętności. Mowa, to niby kunsztowna machina, kto chce się nią dobrze posługiwać, powinien umiéć ją rozebrać i złożyć; wtedy dopiéro nauczy się prostować w niéj błędy i niedostatki, oceniać dogodności i zdolności. Zobaczmy jak pan D. dopełnił obowiązku gramatyka.

Dla nauczania *przypadkowania* rzeczowników pan D. utworzył dziewięć form czyli wzorów, a z podwzorami będzie ich więcéj. Do piérwszéj formy należą imiona męzkie o twardych spółgłoskach: b, d, f, ł, m, n, p, r, s, t, w, z, x. Do drugiéj należą zakończone na: c, g, h, ch, k, l, cz, dz, rz, sz, szcz, ż, b', ć, dź, m', ń, p', ś, w', ź, j. Do trzeciéj formy należą *żeńskiego rodzaju* zakończone na: ba, fa, ma, na, pa, sa, wa, za, da, ha, cha, ła, ra, ta, ga, ka. Do czwartéj, piątéj, szóstéj i t. d formy już nie powiém ile końcówek trzeba pamiętać, bobym was przestraszył szanowni czytelnicy trudnościami, jakie walczyć trzeba, dla poznania waszéj mowy, ale wystawię wam wypadki w liczbach, to nie tyle razi. U pana D. potrzeba pamiętać 82 końcówek, dla poznania do któréj z dziewięciu form rzeczownik należy, ponieważ zaś w każdéj formie jest siedem końcówek w liczbie pojedyńczéj, siedem *w podwójnéj* i siedem w mnogiéj, rozmnóżcie więc 21 przez 9, a iloczyn przez 82 końcówek stanowiących osobne przykłady i nauczcie się tego wszystkiego na pamięć z dodatkiem kilkudziesiąt a może i set wyjątków i objaśnień, a wtenczas podług pana D. będziecie umieli przypadkowanie polskie. Ma się rozumiéć, skutkiem braku wszelkiego systematu głoskowego, każdą formę musiał autor objaśniać mnóstwem uwag, wyjątków, dopełnień, jak np. uwagi do piérwszéj formy: *W tym wzorze jeszcze niektóre imiona głębsze, daléj posunięte odmiany mają np. kocieł; to jest* ci *odwrotnie* t *we wszystkich skłonnikach zamieniają, a* e *zupełnie wyrzucają, np. kotłowi*, a wyżéj: d *przechodzi na* dz, t *na* c *i przyjmują także* i *wyraźne.* Wyobraźcie teraz sobie pod każdą mnóstwo wzorów jak się z imion formują najrozmaitsze pochodniki, co wcale nie należy do gramatyki, wyobraźcie sobie imiona z końcówkami, które

uznano za dobre, bo ich lud w Rzeszowskiém używa, lub Kochanowski i Skarga używał, a będziecie mieli wyobrażenie rozlicznych odmian w naszych rzeczownikach. Ujrzycie przed sobą las prawideł, uwag, wzorów, podwzorów, a jednak tego co chcecie poznać, nie ujrzycie. Zobaczycie w przykładach wszystkie osobliwości odmian, ale nigdzie się nie dowiecie, dlaczego co się dzieje. Chcecie wiedzieć dlaczego się zamieniają głoski np. *mąż męża, matka matce, kościół kościele,* lub wyrzucają: *rydel rydla, kocioł kotła,* dadzą wam do zrozumienia, że byłoby źle, gdyby się nie wyrzucały. I znowu każą wam mówić, że *słowikowie* śpiewają, że widzicie *koniów*, że jesteście *rodzaja* męzkiego, żeście zobaczyli *żmiją* i powiadają że mówicie *wzorowo*. Powiedzcież teraz, że znacie wasz język?

Nawet przymiotniki, które w naszym języku najforemniej się przypadkują, u pana D. na dwanaście form się dzielą, tak np. *tępy* należy do piérwszéj formy, *głupi* do czwartéj, a przecież jednakowe obydwóch zakończenie.

Nie pojmuję dla kogo autor gramatykę swoję przeznaczył, czy dla uczących, czy dla uczących się; bo przypuściwszy, że odmiany jakie do języka wprowadza, zostałyby przyjęte, to jeszcze pozostaje trudność nauczenia siebie i drugich tego, co się tam znajduje. Obiecujeć wprawdzie, że jak się ziomkowie wyuczą jego języka, to i gramatyka jego może być w następnych wydaniach krótszą; ale ja myślę, że właśnie teraz nie trzeba jéj było odejmować tego przymiotu. Wprzód były języki, niż gramatyki, a przecież gramatycy myślą, że to oni wychowują język, że im należy się chwała za jego wzrost i piękność; piszą gramatykę, niby historyję swojego wychowańca, męcząc go i krzyżując podług swoich kaprysów i przywidzeń, a zrobiwszy z niego upiora, straszydło, chwalą go, że jest giętkim i przyjemnym. Zaślepieni, nie wierzą, że każdy gwałt zrobiony na językowéj własności towarzystwa, ukarany będzie pośmiewiskiem powszechném i odrzuceniem. Gramatyka jest tylko pamiętnikiem obecnéj epoki języka, a ten pamiętnik powinien być wierny i faktami poparty, które przed nami leżą, w dziełach mężów, co ozdobili mównictwo krajowe, co wyrośli z potrzeb i cywilizacyi społecznéj.

Praca pana D. jest raczéj obszernym magazynem materyjałów do napisania gramatyki, ale nie gramatyką; bo w niéj nie ma żadnego układu, a prawidła bez ładu porozrzucane i nie objęte w syntezę, któraby widomie wystawiła wszystkie zdolności mowy polskiéj. P. Deszkiewicz nie pojął, czego dziś wymagamy po gramatyce; zdawało mu się, że po dawnemu, można z niéj zrobić naukę lat wielu: że naładowawszy pamięć wyobrażeniami kształtów, form, końcówek, przyjdzie się do wyobrażenia usług, jakie spełnia język; tymczasem dziś, gdzie młody człowiek tak wielu rzeczy ma się uczyć, nie można zapychać mu głowy prawidłami bez związku, myślami bez użytku. Słyszałem o jednym nauczycielu, który miał tę małą wadę, iż z nauki języka robił mozołu na lat kilka: umiał tak dowcipnie zrobić z muchy wołu, z karła olbrzyma, tak przeciągał i sztukował robotę, że nim uczeń lub uczennica doczekała się owoców mniemanéj mądrości i tajemnice egipskiéj sztuki ujrzała, często mąż zabiérał ją dla nowych obowiązków; bo i jakże miało być inaczéj, kiedy np. w piérwszym roku uczył o głoskach, w drugim o zgłoskach, w trzecim o rzeczownikach i t. d., proszęż sobie teraz wystawić, ile to czasu trzeba, na zgłębienie do dna mądrości. Może to i dobre, ale nie dla wszystkich.

Najpracowiciéj obrobione u pana D. są przysłówki, przyimki i spójniki, ale autor nie wskazał dostatecznie użytku tych ostatnich, w ogólnéj mechanice języka.

Mamy teraz mówić o *słowie*, o tym szkopule, o który się rozbiły najtęższe głowy gramatyczne. Mroziński gdzieindziéj tak wielki, tu się pokazał małym. Żochowski Feliks, dotąd nic nie napisał o słowie. Inni śmielsi pisali wprawdzie, lecz któż to zgadnie, co oni napisali. Tu się zamknęła cała mądrość człowieczego słowa, a oni ciało wzięli za tę mądrość i mając oczy na ciało obrócone, nie dostrzegli ducha. Zobaczmy jak pan D. pokonał w tym względzie trudności; że zaś przedmiot ten wymagać będzie dłuższych uwag, przeto prześlę je Redakcyi *Biblioteki Warszawskiéj* w przyszłym liście, jeśli Bóg zdrowia pozwoli. *)

Józef A. Czajkowski.

FAŁSZERZE.

(Dokończenie.)

Lubo hrabia de Faab wiele dla Aryjoliny miał pobłażania, przecież nadzwyczajne wydatki, jakie ona nagle czynić zaczęła, mocno go zniepokoiły. Nikt bowiem nie znał lepiéj od niego jéj przychodów. Ponieważ jednak nie onto ów ekwipaż, ów ogród w Vincennes, owe pyszne meble jéj sprawił, więc od kogoż ona to miéć mogła? Nie było wątpliwości, iż Aryjolina musiała się sprzeniewierzyć hrabiemu, lub była gotowa, wkrótce się tego dopuścić — przykre dostrzeżenie dla hrabiego, który wreszcie na prawdę do Aryjoliny się przywiązał; jéj upór, jéj grymasy, nawet jéj wady stały mu się miłe i drogie, a przyzwyczajenie się do spólnego z nią pożycia, zawarło z czasem nierozerwany na pozór

*) Odebrawszy właśnie *Bibliotekę Warszawską* za miesiąc październik, w któréj ten przyrzeczony list jest umieszczony, udzielimy go naszym czytelnikom jako uzupełnienie tego przedmiotu w przyszłym numerze »Rozmaitości«. *Red. Gaz. Lwow.*

węzeł między obojgiem. Ztémwszystkiém widząc jak rzeczy stoją, chwycił się hrabia bardzo prostego środka, aby z tego trudnego i smutnego wyjść położenia.

Gdy Aryjolina raz w wieczór toaletę kończyła, mając właśnie iść na operę, wstąpił de Faab do jéj gotowalni, i po długiém przypatrywaniu się sprzążkom u swoich trzewików, połom sukni i bramowaniu u pantalonów, jakto zwykli czynić ludzie, nie wiedzący od czego zacząć; rzekł w końcu do Aryjoliny: »Już postanowiłem. Po trzech dniach odjéżdżam do portu.»

»Do portu, panie hrabio?«

To mówiąc, przylepiła sobie pachnącą muszkę w dołku przy ustach.

„Ztamtąd odpłynę do Malty.»

„Odpłyniesz pan do Malty, do swoich towarzyszy?»

„Sprawimy tém mocniejsze wrażenie, przybywszy niespodzianie w słotnéj porze roku do Indyjów. Jakoż cały mój plan zmieniłem.»

„Aleś mi pan tego nie powiedział;» rzekła Aryjolina, podnosząc obie ramiona w górę, aby krew w dół spadła, i przeto ręce bielsze były.

„I pani także nie wszystko mi powiadasz.»

„Zamilczam panu tylko obojętne okoliczności.»

»I ja również.»

„Przecież odjazd pana nie może mi być obojętnym.»

Tu kochanka hrabiego de Faab upięła sobie różę koło ucha.

„Przychodzę też, kochana przyjaciółko, zapytać panią, czy zawsze jeszcze obstajesz przy tém, abyś wraz ze mną jechała?»

„Pozwól pan powiedzieć sobie, iż bardzo zły czas do téj podróży obrałeś.»

»Proszę mi odpowiedzieć na moje pytanie.»

„Stajesz się pan natrętnym.»

„I owszem; nigdy nie byłem mniéj natrętnym; gdyż zostawiam to pani do woli, jechać ze mną do Indyjów, lub zapomnieć o mnie w Paryżu.»

»Ależ, czyż pan dostatecznie zamysł swój rozważyłeś?»

»Dziwna to wątpliwość ze strony pani»

„Powiadają bowiem, kochany mój przyjacielu — proszę mi też z łaski swojéj podać tę iglicę — że Indyje wschodnie są bardzo niezdrowym krajem, pełnym nieznośnych much i owadów. Przytém i zęby się tam, słyszę, bardzo wcześnie psują.»

„Jak widzę, odeszła panią ochota zostać królową. Jestto kokieteryja, któréj się po pani nie spodziéwałem.»

»I brzydkich też, mój hrabio, mielibyśmy poddanych! Ludzie tam żółte, jak marchew, i ani słowa po francuzku nie umią. Ktoby mi też tam suknie i kapelusze robił? Nawet szewców tam nie ma, bo wszyscy chodzą boso.»

„Uwagi pani są nieco za późne, a jeźli je sobie należycie wyłożyć zdołam, tedy mają one właściwie znaczyć, iż pani ani mojego szczęśliwego ani nieszczęśliwego losu podzielać nie chcesz.»

»Źle mię pan zrozumiałeś. Nie takto ja myślałam. Przedewszystkiém, działajmy rozsądnie. — Bądź pan łaskaw podać mi ów flakonik! — Jedź pan sam naprzód. Dokonaj swego dzieła, posiądź królestwo, a potém przyślij po mnie. — Przysuń mi pudełko z pudrem. — Kobiéta byłaby w początku tylko zawadą dla pana. Wszakżeś pan przecież na to nie liczył, abym panu z orężem w ręku pomocną była!»

„Niech i tak będzie; sam pojadę. Rozumiém panią. Jestto jéj wolą, a ja nie mam żadnego prawa sprzeciwiać się téj woli. A gdybym nawet miał prawo, tedy nie korzystałbym z niego, równie jak i przy innych okolicznościach z niego nie korzystałem.»

„O jakichżeto okolicznościach chcesz pan mówić?»

Faab powstał z niecierpliwości. Był tak rozgniewanym, iż nie mógł usiedzieć na miejscu.

»Mógłbym o wielu okolicznościach wspomnieć!» rzekł on, ściskając gwałtownie rękojeć szpady. »Lecz godność moja nie dozwala mi wznawiać tych wspomnień.»

»Mówiąc między nami, jestto bardzo zła wymówka, ta godność pańska. Wynurz się pan otwarcie. Czyżem się może panu sprzeniewierzyła?»

„Wiesz pani to najlepiéj; a sądzę, że panią to równie jak mnie samego obchodzi. Gdybym zaś panią spytał, zkąd pani masz owe sumy, które tak obficie zachcenia pani zadowalniają, tedy skłamałabyś przede mną.»

»Ręczę panu, iżbym nie skłamała.»

»Jakażto więc dłoń bezinteresowna sypie pani te skarby? I cóżeś pani dała w zamian za te nowe sprzęty, których się dotknąć wstydzę, za ów domek w lasku Vincennes?...»

»Jesteś pan więc zazdrosnym, panie hrabio?»

„Nie; jestem tylko delikatnym»

»A przecież mi pan nie wierzysz. Dobrze więc; przypatrz się pan, jaką wartość te rzeczy dla mnie mają.»

Co mówiąc, uchwyciła szpadę hrabiego, i już to ostrzem, już rękojecią zaczęła tłuc porcelany, zwierciadła, kryształy; poczém podarła powłokę krzeseł, zasłony, kobierce, słowem wszystko, co było najkosztowniejszego w pokoju. A wreszcie oddała szpadę hrabiemu i rzekła:

»Jesteś pan więc przekonanym, panie hrabio?»

»Niszczyć nie znaczy przekonywać;» — odrzekł hrabia — »jutro wynagrodzisz sobie pani to wszystko, i sprawisz jeszcze pyszniejsze meble. Jestto owszem najlepszy sposób odnowienia ich.»

»Jeźli pan tak o mnie sądzisz, tedy zerwijmy z sobą na zawsze. Pozwól mi pan pół godziny czasu do opuszczenia tego mieszkania. Więcéj nie potrzebuję, aby suknie moje ztąd zabrać. Odbierz pan nazad swoje klejnoty.»

„Moją to owszem powinnością, zląd się oddalić!” zawołał hrabia zmieszany. „Tu wszystko jest własnością pani — a jeźli, jak pani niedawno do mnieś tu rzekła, należy zapłacić służącym, zanim się je odprawi, tedy sądzę także, iż nie należy poniżać swoich kochanków, gdy się ich odprawia. Bądź pani zdrowa!”

I pełen stłumionego acz słusznego gniewu wyszedł hrabia spiesznie z pokoju, zasuwając gwałtownie zasłonę u drzwi za sobą.

Ale zamiast równie szybko wyjść na ulicę, uczuł się pan de Faab tak mocno wzruszonym, iż padł na krzesło w przedpokoju, i spoczął tam znużony. Przedpokój był tylko jedną dogorywającą już świécą oświetlony, która wkrótce zagasła. Hrabia pozostał w ciemności, dumając nad swoim smutkiem.

Siedział tak z godzinę w posępnych myślach, gdy nagle drzwi przedpokoju z podejrzaną spiesznością się otworzyły i znów zamknęły. Wszedł niémi jakiś młody mężczyzna, a zarazem we drzwiach przeciwległych okazała się Aryjolina.

De Faab uchwycił szpadę, a potém uśmiéchnął się, i rękę opuścił.

Postrzegłszy jednak, iż nieznajomy był sam na sam z Aryjoliną, udał się za nim, i idąc od pokoju do pokoju, dostał się aż pod same drzwi komnaty, w któréj oboje się znajdowali, a podsłuchując tam, usłyszał następującą rozmowę:

„Czyż już wyszedł?”

„Wyszedł — na zawsze.”

„Mógłem się tego po łzach pani domyśléć. Więc go pani mocno kochałaś?”

„Będę go wiecznie kochać.”

„To się znaczy, przez cały tydzień.”

— „Głupiec!” mruknął de Faab. „I nie mamże się zemścić na nim!”

„Rozważywszy wszystko,” — mówił nieznajomy dalej — „dobrześ pani uczyniła; byłby nas mógł wreszcie zkompromitować.”

— „Co on gada?” szepnął de Faab do siebie.

„Źle z nami stoi;” — dodał tamten — „prześladują nas bez ustanku, i podwojono baczność.”

— „Któż on jest?” zapytał hrabia zcicha.

„Idąc tutaj,” — ozwał się znów nieznajomy — „spotkałem na przedmieściu St. Antoine ludzi podejrzanéj powierzchowności. Nadzwyczajne mnóstwo kwadruplów, któreśmy w obieg puścili, obruszyło na nas policyję. To mój ojciec z swoją szczególną pobożnością skłonił mię do zfabrykowania ich w tak znacznéj ilości.”

— „Fałszerz,” pomyślał hrabia, „fałszerzto więc jest tym hojnym kochankiem.”

Fałszerz mówił daléj:

„Lękam się, iż wreszcie będziemy zmuszeni zaprzestać na dwa miesiące dalszéj fabrykacyi; jestto czas długi, lecz wydatki pani nie będą na tém cierpiały. Ależ wiesz pani, iżeś w jednym miesiącu sto tysięcy liwrów wydała? Oto jeszcze 50 tysięcy w trzech małych workach. Nie wydawaj ich pani jednak od razu; byłoby to nieostrożnością.”

„Bądź pan spokojny,” — rzekła Aryjolina z westchnieniem, świadczącém o żalu po oddaleniu Faaba; poczém wzięła worki z pieniędzmi i zamknęła je do sekretarzyka.

„Teraz pójdziemy nudzić się na operze;” — ozwał się fałszerz — „jesteś pani zachwycającą w tym stroju; pozwól pani, abym ci uwielbienie moje wynurzył.”

Faab mniemał słyszéć pocałunek.

To przywiodło go do wściekłości; porwał się jak szalony i poleciał do miasta, a w godzinę późniéj rzekł do siebie z okropném zadowoleniem: „Jestem pomszczony.”

* *
*

„A wieszże pan, coś uczynił?” spytała Aryjolina hrabiego nazajutrz w tym samym pokoju, gdzie wczoraj w wieczór był uczestnikiem tak gwałtownéj sceny.

„Pomściłem się.”

„Pomściłeś się, mówisz pan. Oto, sam siebie przed policyją wydałeś.”

„Sam siebie?”

„Tak jest, siebie! Gdyż pan i ja jesteśmy spółwinowajcami tych fałszerzy. Pochwycą ich razem z nami. Będziemy wszyscy traceni, wszyscy kołem łamani!”

„Wielki Boże! Nie rozumiém pani!”

„Wnet mię zrozumiesz; wszystko to złoto, które ci doręczyłam, aby je do Malty towarzyszom twym przesłać, wszystko któreś mi pan wczoraj zarzucał, pochodziło od tego fałszerza. Jesteśmy jego spólnikami, słyszysz?”

„I czemużeś mnie nie ostrzegła!”

„Kochałam cię tak mocno, mój Faab, iż nie zważałam na wielkość niebezpieczeństwa, jakie nam z użycia podobnych środków groziło. Pragnęłam tylko ziszczenia twoich zamiarów. Któż mógł przewidziéć denuncyjacyję, i to jeszcze przeciwko tobie?”

„Ja, o Boże, jaż mam ginąć fałszerzem! Ja, hrabia de Faab! O hańbo!”

„Zginiemy razem, hrabio. Chciałeś mi dać połowę swego tronu, ja teraz połowę rusztowania z tobą podzielę.”

„Żegnaj sławo! Żegnaj nieśmiertelności!” zawołał hrabia.

„Żegnajcie wy piękne bale zimowe, ty mój śliczny buduarzyku, i wszystko, wszystko!” wołała Aryjolina.

* *
*

Owczesne zamieszanie we Francyi dozwoliło hrabiemu de Faab i Aryjolinie ujść ohydnéj śmierci,

od któréj jeszcze dość wcześnie ucieczką ocalić się zdołali, podczas gdy fałszerze ogromne swoje oszustwo na rusztowaniu odpokutować musieli. Ztémwszystkiém, po tak bolesnym zawodzie najczarowniejszych nadziéj, po przyzwyczajeniu się do tak bezmyślnego trwonienia złota, mieli téż hrabia i Aryjolina, którzy tylko uwieść się dali, dość sposobności do czynienia pokuty za swój występek. Ambitny hrabia powrócił do ojczyzny; nieszczęśliwa Aryjolina schroniła się w domu Sióstr miłosierdzia, i znalazła tam przytułek a oraz spokojność duszy, o jakiéj śród zgiełku i zabiegów światowych, wyobrażenia nawet nie miała.

Podróż dzwonów do Rzymu. *)

MARZENIE.

»Babuniu, Babuniu!» — zawołałem — »Otóż staruszek z ciasteczkami, pójdź prędko, bo byłem grzeczny!»

W saméj rzeczy słyszałem z dala w ulicy odgłos grzegotki — ale widać, że staruszek nie szedł pomału jak zwykle, i nie zatrzymywał się od drzwi do drzwi, grzegotka bowiem térczała bezustannie i mocno.— Ciasteczka szły prosto ku mnie, ich najlepszego przyjaciela — a ja sam sobie mówiłem: »Nikt ich dzisiaj nie zatrzymuje — nikt mi téż zatém tych, które lubię, nie zabierze.»

Im bardziéj jednak zbliżał się terkot grzegotki, tém większa wątpliwość zaszła we mnie. — Staruszek nie chodził nigdy tak prędko, i ręki nie miał tak silnéj. — „Mój Boże," szeptałem, „czyżbyto nie on miał być? — czy kto inny na jego miejscu? a zamiast moich dobrych ciasteczek, inne złe i niesmaczne?»

Grzegotka już co tylko się nie ukazała — a ja wołając głośno na moję babkę — biédz chciałem do pokoju po nią — lecz niestety! Szczęście moje zbyt było wielkie, aby nań zawód nadziei nie miał był nastąpić. — Nie byłyto ciasteczka, nie byłto staruszek ani cukiernik!.... Sługa kościelny w ubiorze świątecznym przebiegał ulice, z ogromną grzegotką w ręku, przed każdym domem mocniéj hałasując — i bądźto iż chciał oddać uszanowanie méj babce, dziś już mieszkance nieba, lub téż chcąc ze mnie zaszydzić, stanął przed nami — najdłużéj się zatrzymał — i jaknajmocniéj zagrzegotał. —

Zwróciłem się i pobiegłem do pokoju, i tupając nogami ze złości, rzuciłem się w objęcie méj babki.

„Niecnota!» zawołałem. »Mnieto tylko na złość uczynił!» I zalałem się łzami.

»Moje dziecię," rzekła babka, wyjmując z woreczka cukierek, który wszystkie łzy z twarzy mojéj spędził, „kościelny zupełnie nie myślał o tobie — lecz ty zapominasz, iż dziś wielki czwartek.— Nie mamy już naszego dzwonka — tym więc sposobem przyszedł nam oznajmić godzinę nieszporów.»

»Jakto babuniu," rzekłem, „nie mamy dzwonka? a dziś rano jeszcze go słyszałem.»

„Tak jest, dziś rano, ale pod wieczór odleciał."

„A dokąd babuniu?»

»Do Rzymu, mój mały.»

„Do Rzymu — a naco?»

»Dlatego iż co rok w wielki czwartek tam się udaje.»

„Ale na cóż?»

„Aby widzieć ojca świętego.»

„A inne?»

„Które inne?»

»Dzwony kościołów i z całego miasta.»

„Także poleciały.»

„Jakto, wszystkie?»

»Wszystkie.»

„O babuniu," rzekłem z obawą, »ale wrócą.... i kiedy?»

»W wielką sobotę w południe — będą wtedy dzwonić bardzo głośno, aby odzyskać czas stracony.»

„O, tém lepiéj!» zawołałem. »Będę więc już mógł poznać staruszka z ciasteczkami.»

I babunia pocałowała mnie w twarz — otarła jeszcze niektóre łzy — wzięła mnie za rękę, i poszła ze mną na nieszpory do kościoła.

Od tego czasu co rok w wielki czwartek przypominałem sobie grzegotkę kościelnego, ciasteczka, i podróż dzwonów do Rzymu. — Często zaglądałem ciekawie w otwory dzwonnicy, chcąc widzieć czy miejsce próżne. — Często, powątpiewając w słowa babuni, pytałem się organisty, babki kościelnéj, i dziadka z święconą wodą — gdzie się dzwony w wielki czwartek podziewają — wszyscy mi odpowiadali: „Lecą do Rzymu!»

Pewnego dnia nawet nasz pleban miejscowy odwidził moję babkę — a ja spytałem go niedowierzając: „Czy to prawda mój księże, że nasz dzwon...»

Ksiądz uśmiéchnął się i odpowiedział: »Tak jest dziecię moje — dzwon nasz jest w Rzymie.»

Później gdy mógłem zrozumiéć wiele innych podań ludu, dociec również chciałem źródła i początku podania tego o dzwonach... lecz nigdy i od nikogo nic więcéj się nie dowiedziałem, jak tylko to, co babka moja, w dziecinnych mych latach, wtedy mi opowiedziała.

Z resztą wy wszyscy, co po wielkich miastach mieszkacie — czyż myślicie wy kiedy o tém? Czy rozumiecie wy odgłos dzwonu? Słyszycież ten ogro-

---

*) We Francyi jest podanie u ludu, że w wielki czwartek pod wieczór wszystkie dzwony opuszczają swe miejsce i lecą do Rzymu, zkąd dopiéro w sobotę na Zmartwychwstanie powracają. — Przez te dwa dni, tak jak i w Polsce zamiast dzwonów i dzwonków, używają grzegotek.

mny głos spiżowy, co słowa boże po świecie roznosi? — i spostrzegacież jednego dnia w roku, jego milczenie? Nie! - wy co ani chwili nie żyjecie bez hałasu, bez szału, wy nie wiecie, wiele jest ponuréj powagi w tém dwudniowém milczeniu. —

Dzwon bije ciągle — jak arteryja w ludzkiém sercu — pozdrawia słońce, gdy wchodzi, żegna je, gdy znika — tam, wesołym swym dzwiękiem, wita piérwsze kwilenie nowonarodzonego — tu zaś, smutnémi jęki, towarzyszy ostatnim tchnieniom umierającego — tam, naznacza chwile szczęścia i swobody — tu, początek cierpienia i smutku — wszędzie on do nas przemawia; nigdzie nas nie opuszcza, i zawsze go słychać. —

A wtém ucichł... i milczy!... Harmonijom natury zabrakła naraz ta drgająca nuta, co w nich życie budzi — wszystko milczące jak grób, a ponure jak zdarzenie, którego rocznicę kościoł dziś obchodzi — Zamiast dzwonu porannego kur pieje. — Kur, przy śpiewie którego Piotr zaparł się Jezusa — w miejsce dźwięków jego wieczornych, ptak grobów, trzepiąc skrzydłami, żałośnie pojękuje — jak echo ostatnich słów Zbawiciela na krzyżu: „Eli, Eli, lamma sabathani!"

Dzwon ucichł — i wszystkie zamilkły — a gdy Bóg ma umiérać; one, tłumacze słów boskich, idą do zastępcy Boga na ziemi, — — dzwony idą do Rzymu!.....

Pójdźcie, pójdźcie ze mną na wierzchołki świątyń.... Dzwony zatrzęsły się — szarpnęły sobą, a wieże ich same się zerwały, — mury otwarły im drogę — i zniknęły!.... O, prośmyż o miejsce, i lećmy z niémi, spieszmy! i niech nas Bóg strzeże!

Już kościoł daleko — i miasto niknie — i ziemia — my zaś ciągle wznosimy się wyżéj i wyżéj, ku temu sklepieniu bez granic; sami — samotni w téj ciszy! O jakże żartko lecimy przez przestwór niebieski! Światło, myśl nawet, prędszémi od nas nie są — a tam, pod nogami naszémi miasta biegną — uciekają jak przestraszone — kryjąc się....

Czy widzisz ze wszech stron te czarne punkty, które opuszczają ziemię, jak chmura ptaków podróżnych — zbliżają się ku nam — i większémi się stają — liczba ich niezliczona — tyle i tyle ich razem, że ziemi przed niémi nie widać.... to dzwony! wszystkie dzwony!....

Te — spaniałe, olbrzymie, jak orzeł wielkoskrzydlny! — tamte, drobne, i, igrające jak śpiewak skowronek. — Tu, spiżowy dzwon wielkiego miasta, co kilka wieków przejęczał... tu śrebrno-dźwięczny, z gotyckiéj kaplicy — tu, żelazny, rdzą zieloną okryty — własność biednéj wioski — tu znów przeraźliwy miedziany z fary małego miasteczka.... a tam!... o babko moja! — ja go poznaję — to nasz mały dzwonek pryśnięty — dzwonek wioski rodzinnéj — co mnie, gdym na ten świat przyszedł, swą piosnką powitał!.... O, ciasteczka — staruszek — i sługa kościelny z grzegotką!....

I wszystko to w jednę pędzi stronę — cała ta migracyja metalu, leci bez wahania — i dąży do jednego celu.... Rzymu. Każdéj sekundy liczba dzwonów się mnoży — nic innego nie widać tylko dzwony i dzwony! Niebo się zaciemnia — słońce zachodzi — i na ostatnich swych promieniach, rozséła jeszcze po ziemi pocałunki pożegnania! — aż nakoniec znika.... noc świat ogarnia — ciemno — a świst powietrza tylko wskazuje nam, iż ciągle lecimy!...

Wtém wstrząśnięcie ogromne zatrzymuje nas w pędzie.... — Otóż Rzym!... a wszystkie dzwony chrześcijaństwa, ze wszystkich części świata i okolic, z ostatnich i najdalszych ziemi krańców, w jednéj i téj saméj spotykają się chwili — uderzają się — porządkują — i nad świętém miastem tworzą w chmurach piramidę niezmierzoną — któréj szczyt..... w niebie! —

Tu, obecne są modłom błagalnym, które zanosi zastępca boski przed tron Pana nad Pany — słuchają tęsknych i ponurych litanij — i odbiérają nakoniec owe święte błogosławieństwo, które z balkonu bazyliki św. Piotra Kapłan Najwyższy daje miastu i światu, *urbi i orbi!* Poczém zaś, jako wierne wysłanniki Boże — wracają — rozsypując w przelocie cząstki otrzymanego błogosławieństwa — głośno oznajmując wiernym, iż Chrystus zmartwychwstał! — *K. L.*

Ambasador hiszpański.

Margrabia St. Giles, który w początkach ośmnastego wieku był posłem hiszpańskim w Hadze; zostawał za młodu w bardzo ścisłéj zażyłości z hrabią Moucada, jednym z najpiérwszych grandów Hiszpanii. Wkrótce po swojém przybyciu w Hadze, otrzymał ambasador list od hrabiego, który go na wszystkie obowiązki przyjaźni o wyświadczenie mu nadzwyczajnie ważnéj przysługi upraszał.

„Znasz kochany margrabio," — pisał Moncada — „jak wielce to mię smuciło, iż starożytna rodzina, któréj ostatnim potomkiem ja byłem, ze śmiercią moją na wieki wygasnąć miała. Wszakże, dzięki Bogu, podobało się niebu wysłuchać wreszcie moje gorące modły, i obdarzyć mię synem. Otóż jakby zawiszcząc mi tego szczęścia, dopuścił los złowrogi, iż mój syn w sławnéj toledańskiéj aktorce się zakochał. Z początku milczałem na to, gdyż aż do téj chwili było prowadzenie się Alonza zawsze jaknajprzykładniejsze. Dowiedziawszy się jednak, iż zaślepiony namiętnoscią, kochance swojéj ożenić się z nią przyrzekł, i już nawet na piśmie to jéj zaręczył; osądziłem za rzecz konieczną, uwiadomić o tém króla, i wymódz na nim rozkaz uwięzienia Alonza. Tymczasem nierozsądny młodzieniec, prze-

strzeżony o moich zamiarach, uprzedził wykonanie onych, i umknął z kochanką do Niderlandów, i, jak się zdaje, do Hagi.”

Następnie zaklinał margrabia ambasadora w imię dawnéj przyjaźni, nakazać jaknajściślejsze poszukiwanie, aby Alonza wyśledzić, i do powrotu na łono rodziny nakłonić.

„Zresztą,” — pisał hrabia daléj — „godzi się zabezpieczyć los dziewczyny, jeźli ona na wydanie przyrzeczenia ślubnego zezwolić zechce; jakoż tobie samemu, mój szanowny przyjacielu, poruczam oznaczyć kwotę, potrzebną do zaspokojenia Manueli i należnego opatrzenia Alonza na drogę. Nie wiém czy niebo potomstwem cię obdarzyło, lecz jeźli tak jest, jak się spodziewam, tedy możesz sobie wystawić, jak sroga niespokojność mię dręczy.”

Do tego listu dołączył hrabia dokładny opis syna i jego kochanki.

Niezwłocznie po otrzymaniu listu rozesłał margrabia gońców po wszystkich domach gościnnych w Amsterdamie, w Roterdamie i Hadze; atoli nadaremnie; nigdzie najmniejszego śladu Alonza nie znaleziono. Już ambasador o pomyślnym skutku swych starań wątpić zaczął, gdy nagle przyszło mu do głowy, użyć w téj mierze pewnego młodego i nadmiar przebiegłego pazia francuzkiego. Na ten koniec przyrzekł mu margrabia znamienitą nagrodę, i dał mu opis śledzonéj pary. Przez dni kilka tropił paź napróżno po wszystkich miejscach publicznych ślady kochanków, aż wreszcie pewnego wieczora postrzegł w teatrze, w jednéj z lóż obocznych, młodego mężczyznę z również młodą i ładną damą, którzy widząc się ciekawie uważanymi, usunęli się w głąb loży, i przeto jeszcze bardziéj podejrzenie pazia wzbudzili. Nie spuszczał on ich na chwilę z oka, a ledwie widowisko się skończyło, wybiegł młody Francuzik na kurytarz, i ujrzał tam, iż ów nieznajomy mężczyzna, przechodząc koło niego, chustką sobie twarz zakrył, zapewne, aby się nie dać poznać. Nie wątpiąc już o tożsamości osoby, pospieszył paź ukradkiem za młodą parą, która corychle do gościnnego domu pod godłem „*Vicomte de Turenne*” weszła. Poczém uradowany tém odkryciem, udał się coprędzéj do margrabiego, i uwiadomił go o wszystkiém.

Ambasador wziął natychmiast dwóch służących, i w towarzystwie pazia, okryty płaszczem, poszedł do wskazanéj oberży. Gospodnik czynił z początku niejakie trudności, i nie chciał wprzódy pobytu poszukiwanych osób przyznać, aż póki mu ich nazwisko wymienione nie będzie; lecz gdy paź mu oświadczył, iż to poseł hiszpański z nim mówi, spokorniał oberżysta, i tłumacząc się prożbą swoich nieznajomych gości, aby nikogo do nich bez wymienienia ich nazwiska nie wpuszczać, zaprowadził margrabiego do ich mieszkania, składającego się z bardzo lichéj komórki na poddaszu. Zapukano do drzwi, lecz nikt nie otwiérał; dopiéro po powtórném głośniejszém zastukaniu, otworzyły się drzwi do połowy, ale na widok ambasadora i jego orszaku, tażsama osoba, która je otworzyła, znów je przymknęła, mówiąc: „Nie tutaj.” Jednakoż ambasador rozwarł drzwi na oścież, i wszedł do środka, rozkazawszy swoim ludziom czekać za drzwiami. Wewnątrz zaś ujrzał on młodego mężczyznę ujmującéj powierzchowności, i zupełnie takichże samych rysów i postawy, jakie w opisie znamionowane były. Przy nim siedziała młoda, ładna i bardzo wysmukła dama, również tak co do koloru włosów, jakoteż wzrostu i profilu twarzy, wcale podobna do téj, którą hrabia Moncada opisywał. Jéj młody towarzysz zabrał najpiérwéj głos, uskarzając się na tak gwałtowne najście go w jego mieszkaniu, gdy on przecież w wolnym kraju i pod opieką ustaw zostaje.

Ambasador zbliżył się grzecznie do niego, i uprzejmie go uścisnąwszy, rzekł: „Nie w porę już, kochany hrabio, ukrywać się przede mną. Znam ja cię dobrze, i nie przychodzę tu bynajmniéj w celu napastowania ciebie lub téj młodéj damy, która mi się bardzo miłą i powabną wydaje.”

Młody mężczyzna odpowiedział na to, iż w tém jakaś myłka zachodzi, iż on nie jest hrabią, lecz synem kupca z Kadyksu, a ta młoda dama jest jego żoną, i że oboje dla rozrywki w podróż się wybrali.

Ambasador obejrzał całą, jaknajlichszémi sprzętami zastawioną izdebkę i mały w kącie złożony tłumoczek podróżny, i ozwał się: „Tuż więc, kochany mój synu — pozwól mi, abym cię nazwał tém mianem, do którego długoletnia najtkliwsza przyjaźń z twoim ojcem mię upoważnia — mieszkać ma potomek starożytnego rodu Moncada!”

Młody mężczyzna udawał ciągle, jakoby tych słów nie rozumiał. Aż nareszcie, pokonany usilnémi prożby margrabiego, przyznał się, iż jest synem hrabiego de Moncada, że jednak nigdy do ojca nie powróci, jeźli mu przyjdzie opuścić osobę, którę nad życie kocha, i wiecznie kochać będzie. Przeciwnie młoda dama, zaléwając się łzami, padła do nóg ambasadorowi, przysięgając, iż nie chce być powodem nieszczęścia swego kochanka, i że dla pojednania go z ojcem, zrzeka się swojéj namiętności, i zezwala na rozłączenie się z nim. Ambasador zdziwił się tak szlachetném poświęceniem, lecz zatrwożony kochanek wpadł w rozpacz, zaczął kochance swojéj czynić wyrzuty, i zaklinał się, iż nigdy nie dopuści, aby jéj spaniałomyślność ze szkodą dla niéj być miała. Na to jednak zapewnił go ambasador, że hrabia Moncada bynajmniéj bez pomocy zostawić jéj nie myśli, lecz owszem dał zlecenie wypłacić jéj wszelką kwotę, jakiéj tylko zażąda, aby do Hiszpanii powrócić mogła, lub żyła gdziekolwiek się

jéj podoba. Jéj szlachetny sposób myślenia i szczérość jéj ofiary przejmują go — mówił margrabia — najżywszém spółczuciem, i zniewalają go powiększyć ile możności kwotę, której wypłacenie mu porczono; stosownie do czego, przyrzeka jéj 30.000 franków, które mają natychmiast być jéj doręczone, skoro złożone jéj pisemne oświadczenie małżeństwa wyda, a młody hrabia Moncada do ambasadora na mieszkanie się sprowadzi, i do Hiszpanii wrócić przyrzecze. Manuela zdawała się nie zważać wcale na ofiarowaną sobie kwotę, będąc zajętą jedynie kochankiem, boleścią opuszczenia go, i okrutną ofiarą, jakiéj rozsądek i miłość po niéj wymagają. Po chwili jednak dobyła nieszczęśliwa dziewczyna podpisanego przez kochanka przyrzeczenia zamężcia, i rzekłszy tylko — »Znałam ja zanadto jego serce, abym tego pisma potrzebowała« — i gwałtownie kilkakroć je ucałowawszy, oddała je ambasadorowi, który zdumiony taką spaniałością serca, zapewnił Manueli najtroskliwsze zajmowanie się jéj losem, a młodema hrabiemu zupełne przebaczenie ojca.

»Z otwartémi ramiony« — mówił margrabia — »przyjmie on straconego syna, który znowu na łono niepocieszonéj rodziny wróci; gdyż serce ojcowskie jest niewyczerpaném źródłem miłości. O, jakże mój biédny dawny przyjaciel się uraduje, otrzymawszy tę wiadomość, i jak mocno ja sam szczęśliwym czuć się będę, iż stałem się wykonawcą tego szczęścia!« — Takie mniejwięcéj były słowa ambasadora, które młodego hrabię, jak się zdaje, głęboko wzruszyły. Ztémwszystkiem lękał się margrabia, aby stłumiona w téj chwili miłość, przez noc dawnéj władzy nie odzyskała, i nad szlachetném zrzeczeniem się Manueli tryjumfu nie odniosła. Dlatego wymógł na Alonzu, iżby natychmiast powzięte postanowienie wykonał, i zaraz z ambasadorem do jego hotelu się udał. Ile łez, ile żalów, ile rozpaczy to rozstanie sprawiło, trudno opisać. Widok cierpień obojga kochanków rozczulił ambasadora tak dalece, iż Manueli nanowo wszelką pomoc i opiekę przyobiecał. Szczupłe ruchomości Alonza zostały wkrótce przeniesione, a nad wieczorem ujrzał się młody hrabia Moncada zamieszkałym w jednym z najpyszniejszych pokojów ambasadora, który się nie pojmował z radości, iż tak dostojnemu domowi, jakim jest dóm hrabiów Moncada, ostatniego potomka jego starożytnéj wielkości, ostatniego dziedzica jego mnogich bogatych włości wrócił.

Nazajutrz rano, ledwo się Alonzo przebudził, otoczyła go zgraja krawców, kupców i handlarzy z różnemi towarami, tak iż tylko miał skinąć ręką, aby mu wszystkiém służono. Dwóch kamerdynerów i trzech lokajów, najzręczniejszych i najporządniejszych ludzi ze służby margrabiego, czekało jego rozkazów. Ambasador pokazał Alonzowi list, który właśnie przed chwilą był napisał, i w którym staremu hrabiemu życzenia składa, iż Pan Bóg tak dobrym synem go uszczęśliwił, i że tenże syn niezwłocznie do Hiszpanii powróci. Również i o Manueli nie zapomniano w liście. Ambasador przyznał, iż to głównie jéj spaniałomyślności należy podziękować nawrócenie się Alonza, i wynurzył mniemanie, iż hrabia uczyniony jéj podarek 30.000 franków pochwali. Jakoż tego saméego jeszcze dnia została taż kwota doręczoną Manueli, która corychło z Hagi wyjechała.

Tymczasem poczyniono przygotowania do podróży młodego hrabi, i zaopatrzywszy go bogatą garderobą, dość znaczną kwotą na drogę, i listami wekslowémi do spieniężenia w Paryżu, najęto mu miejsce na okręcie płynącym z Amsterdamu do Francy, i nadto jeszcze kosztowny powóz do należytego wystąpienia w Madrycie tymże samym okrętem z nim wyprawiono. Pożegnanie ambasadora z młodym hrabią było nadzwyczaj czułe.

Z niecierpliwością oczekiwał margrabia de St. Giles odpowiedzi swego starego przyjaciela, i ciągle w duchu sobie wystawiał, jak szczęśliwym teraz hrabia Moncada być musi. Wreszcie po czterech miesiącach przybyła pożądana odpowiedź, ale któż zdoła wyrazić podziwienie ambasadora, gdy zamiast gorących dziękczynień, następne słowa w liście się okazały: »Mój kochany margrabio; niebo nie raczyło mnie nigdy synem obdarzyć; obsypany zaszczytami i bogactwy, czuję zawsze z niewysłowionym żalem, iż nie mam dzieci, a myśl bezpotomnego wymarcia starożytnéj rodziny mojéj, przepełnia me życie goryczą. Wszakże wasza ekscelencyja nie powinieneś przeto być oszukanym. Mniéto, hrabiego de Moncada chciałeś sobie gorliwą przysługą zobowiązać, i ja też muszę wypłacić sumę, którąś z tak szlachetną, przyjacielską skwapliwością wyłożył, aby mi sprawić radość, jakiéj niestety nigdy jeszcze w życiu nie doznałem! Spodziéwam się tedy, iż wasza ekscelencyja, mój kochany panie margrabio, nie będziesz się wcale wahał przyjąć weksel na 3000 luidorów, który do niniejszego listu załączam.«

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 41ty i zawiera: 1) Jaki jest najprzyzwoitszy stosunek pomiędzy ilością nasienia, a obszernością, gatunkiem i żyznością roli? 2) Celujące gospodarstwa w księstwie poznańskiem. 3) Kiedy należy spuszczać drzewo na budulec i jak się z niem obejść przed i po spuszczeniu. (Ciąg dalszy.) 4) Jeszcze jeden środek przeciw śnieci w pszenicy. 5) Pewny sposób wygubienia odrazu szczurów. 6) Sposób budowania domków wiejskich trwałych i niekosztownych. 7) Liście olszowe na karm dla bydła.

Ks. Stanisław Chołoniewski. † Był on synem Rafała Chołoniewskiego, miecznika koronnego, i Katarzyny z hr. Rzyszczewskich. Poświęciwszy się najprzód zawodowi dyplomatycznemu w służbie rosyjskiéj, i już kamerjunkrem dworu cesarza Aleksandra mianowany, przywdział wkrótce suknią duchowną, i po otrzymaném w Rzymie wyświęceniu jakoteż stopniu doktora teologii, zajął stallum w katedrze kamienieckiéj. Umarł w zeszłym miesiącu przeżywszy lat 52. Pełen obszernych wiadomości i nauki pozostawił pism niemało. Z prac jego drukiem ogłoszonych znane są najwięcéj: »Sen w Podhorcach« i »Dwa wieczory u starościny Wolbromskiéj«; oraz tłumaczenia z niemieckiego pod napisem »Narzędzia męki Chrystusowéj« i »Słowa nieprzyjaciół Chrystusa.«

Fany Elsler członkiem akademii uczonéj. Mówmy co chcemy, ale nie masz w naszych czasach zawodu świetniejszego nad zawód baletniczki. Śpiewaczki bywają hojnie wynagradzane, fortepijaniści zyskują krocie, i malarzom nie źle się dzieje, lecz to wszystko niczem w porównaniu z jednym *pas* baletowym, zwłaszcza tańczonym przez artystkę jak Fany Elsler. Wszystkie dzienniki włoskie brzmią sławą niezrównanej Sylfidy, i dodają, iż wielu dostojnych i bogatych panów, pięknej baletniczce rękę i majątek ofiarowało. Lecz panna Elsler drwi sobie z tego, i zostawia to powszednie szczęście swoim pod-

rzędnym koleżankom. Szlachetniejsza żądza chwały owładła jéj serce i nogi: — ona pragnie tytułów! — Podczas jéj pobytu w Ameryce obywatele wolnego miasta, nazwanego po oswobodzicielu północnéj Ameryki, Washingtonie, dali jéj obywatelstwo Washingtonu. To wzbudziło w niéj chętkę do europejskich zaszczytów, a ostatnie wiadomości z Neapolu donoszą o ziszczeniu tego życzenia. Uczeni królestwa neapolitańskiego, zważywszy nadzwyczajny urok, jaki talent panny Fany Elsler na nich wywarł; ujrzeli się spowodowanymi nadać jéj dyplom honorowego członka akademii *»degli studj«*. — To odznaczenie uwieńcza wszystkie jéj dotychczasowe tryjumfy. *)

Opis hrabiego Montemolin i Cabrery. Prefekt departamentu Loir-et-Cher wydał dwa ogłoszenia, ciekawe przezto, iż dokładny opis pretendenta hiszpańskiego i jego jenerała zawierają: »Królewic Karol Ludwik, hrabia Montemolin — lat 28; wzrost 1 metr 65 centymetrów; włosy i brwi czarne; czoło wązkie, wypukłe; usta średnie; faworyty wkoło twarzy, czarne; twarz powzdłużna; broda okrągła; cera brunatna. — Szczególne znamiona: Wierzchnia warga i zęby, nieco wystające, zwłaszcza przy mówieniu; wyraża się z łatwością, ale z dość znacznym przyciskiem cudzoziemskim; kolana na wewnątrz wgięte, co osobliwie w chodzie uderza; postawa bardzo wyprostowana; lewém okiem na zéz patrzy, tak iż często całe białko na jaw wychodzi; nosi kapelusz na prawém uchu, i nieco na oczy zasunięty.« — »Ramon Cabrera: Rodem z Tortozy w Katalonii; ma lat 38; wzrost 1 metr 63 centymetrów; włosy i brwi czarne; czoło zwyczajne; oczy szaro-brunatne; nos średni; faworyty czarne i rzadkie; twarz powzdłużna; broda okrągła; cera brunatna. — Szczególne znamiona: Grube, zbiegające się brwi; mała blizna na czole nad lewém okiem; krzywe golenie; kołysze się zwykle na jednéj nodze; nigdy, mówiąc do kogo, w oczy mu się nie patrzy.«

Umkej, książę Kafrów, pokolenia Gaita, odwidzał niedawno pewnego osadnika angielskiego, który tę wiadomość podaje, w mieszkaniu jego niedaleko Grahams-Town, i ozwał się na wstępie z prośbą o *»soopie«*, to jest, kieliszek wódki, który natychmiast mu podano. Tém zachęcony, zaczął książę prosić o *»sixpence«*, dwógroszówkę, co również łatwo otrzymał. Następnie oświadczył książę, iż życzyłby sobie *»smoke«*, to jest fajki, i mocno się ucieszył, gdy go w tém zadowolono. Miał on z sobą 5 żón — Kafrom wolno mieć tyle żón, ile ich tylko wyżywić mogą — a porównywając je z gospodynią domu, tak się w jéj wdziękach rozmiłował, iż chciał ją sobie kupić od męża, ofiarując mu 5 krów, a w dodatku jeszcze, lecz zcicha tylko o tem przebąknął, dwie lub trzy ze swoich towarzyszących mu małżonek. Całe bogactwo tego książęcia, mającego około lat 50, składa się z 50.000 sztuk bydła, co licząc tameczną ceną po 3 funty szterlingów sztukę na sztukę, czyni znaczny, jak na książęcia Kafrów, majątek. Ztémwszystkiém nie sądził Umkej ubliżyć przeto swojéj godności, prosząc o dwógroszówkę i fajkę tytoniu. Ubior jego składał się ze skóry leoparda *(caross)* i dwóch piór, z przodu u czoła, wkoło skroni biegącym obręczykiem przymocowanych i w tył się przeginających, co jest u Kafrów znamieniem godności książęcéj, wzbronioném komukolwiek niższego stanu; w ręku miał Umkej zwykłą spisę, *assagai*.

Lekarstwo na ból zębów. Jeden z dentystów w Gdańsku wziął sobie za prawidło, by tylko całkiem spróchniałe zęby wyrywać; w innych zaś razach leczy on ból zębów bez wyrywania onych. Postępowanie jego w téj mierze, którego już od lat kilku z najlepszym trzyma się skutkiem, zasadza się po prostu na tem, iż wyczyściwszy naprzód spróchniałość zęba, zapuszcza w otwór kawałek bawełny obsypany proszkiem z kamienia piekielnego *(lapis infernalis)* zeskrobanym. Tym sposobem ząb bolący może jeszcze przez lat kilka służyć.

Odkrycie surogatu mąki. »Dostrzegacz Sztutgarcki« donosi z Heidenheim: »Tutejszy papiérnik Völter starał się oddawna wynaleźć tańszy od zwykłych szmat materyjał do wyrabiania papieru, co mu w saméj rzeczy powieść się miało. Przy czynionych w téj mierze próbach, przekonał się, iż ten nowy materyjał także do wyrabiania chleba używanym być może. Piérwsze doświadczenia wypadły jaknajpomyślniéj, i wydały smaczny, bielutki chléb, którego 1 funt 2 grajcary kosztuje. Funt chleba, upieczonego z ciasta, które w połowie z zwyczajnéj mąki, a w połowie z tegoż nowego składa się surogatu, kosztuje tylko 1/2 gr. Surogat ten jest wszędzie z łatwością do nabycia. Wynalezca odjechał 22go września ekstrapocztą do Sztutgartu, aby swoje wyroby ministrowi Szlayer okazał.

Gdyby! W Cerdrieux, w departamencie Dordogne, żyją obecnie dwie siostry, z których jedna ma 106, druga 104 lat; ileby też one do rozpowiadania sobie miały, gdyby obie nie były — głuche!

*) I nie ma co temu się dziwić: Taniec jako umnictwo na posadzie umiejętności — jest Muzyką dla oka. Muzyka — słowo — głębokiego znaczenia. Jestto dziécię Muz dziewięci. Taniec toczy Ton w sobie, który leje Lira. Muzyka nie jest gędźbą — hud'bą — huślą — gęślą — jak gęś nie gęda; ani taniec nie jest pląsem; jednakże gędźba i pląs z zarodnych wykrzyków i poskoków dzikiéj zmysłowości powstałe; były już przejściem do uślachetnionego uczucia, a przeto i do pojęć i do muzyki, jako umiejętności — kompozycyi. — Już naturą swoją przy skrzypcach drgały, igrały nerwy, podnosiły się pięty, *quinty*; już przy pląsie, plaskało w ręce czucie, i dawało sobie nieświadomie takt, miarę, rytm; już się odzywała nuta, już się nuciła nić głosu w miły sens śpiewu; już się wyrabiała wrótka, wiersz, *verse, versus*; już się wymagał w pojaw zwrot, obrot, tok tonu i tanu; już się stroiła mina w mimę. Przy plesce wyginał się ruch w ciele i wyrobił naoczną plastyczność.— Gędźba — gęda — gajda, przymiotem cymbałów, cytry, i powstała wtedy, kiedy duszę metalu z cichéj samości biciem pałek do jęku zmuszano. Już w jęku — dźwięku — duszy metalu, mieszkała Dyja-tonika natury. Z dyjad — z drzenia duszy natury — powstały kordy — akordy, zwięzy tonów i ich postacie — liczny, melodyje, harmonije, potęgi, gammy i t. d.; powstała muzyka wszechświecia. W miarę tego świętego słowa »muzyka« idą w tan wszystkie ciała niebieskie, biją tętna Euzyi, i deklamują chwałę stwórcy w uczuciu człowieka. *P. R.*

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Fraćiszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.